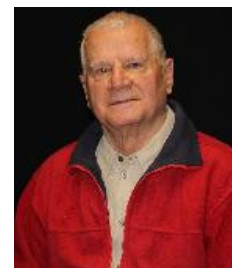


JANUSZ HAJKOWSKI

ur. 1937; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Szczecin, Gliwice, PRL,
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej – opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, Janusz Hajkowski, służba wojskowa, dywizjon Szczecin, Bogusław Cudny, Ciemniak (komandor podporucznik), 1959 rok, WOP Gliwice, zgaduj-zgadula, Stanisław Kozyrski (1937-2007), Andrzej Porc, Szkoła Specjalistów Morskich, Okręt Rzeczypospolitej Polski Kuter Patrolowy 104, Ryszard Jaszczuk, papierosy Albatrosy, brydż,

Dwa lata wojska, to był czas stracony, choć go mile wspominam

Skończyłem szkołę, później była fabryka wag, wojsko dwa lata – to był czas stracony, choć go mile wspominam, bo w kompanii było nas dwóch po maturze w tych latach ([19]57). Wtedy kadra wojskowa to była z tego zwanego awansu społecznego. Oni nie mieli matur nawet, doksztalcali się dopiero ci ludzie. Pamiętam, jak byłem później w dywizjonie Szczecin, to moim komendantem był Bogusław Cudny – komandor marynarki, a zastępcą w sprawach politycznych był Ciemniak, komandor podporucznik, czyli major. I tego Ciemniaka do matury przygotowywałem. To był rok [19]59. Najpierw zaliczyłem trzy miesiące – byłem w Gliwicach w WOP-ie i tam na przysiędze zorganizowałem „zgaduj-zgadulę”, bo po tej mojej przygodzie w „Teatrze Naszym” miałem jakieś pojęcie, taki kontakt z ludźmi, umiałem do się wypowiadać. Zorganizowałem więc „zgaduj-zgadulę” na wzór Przybylskiego i Rokity. [To] było takich dwóch facetów, co prowadzili „zgaduj-zgadulę” taką ogólnokrajową w telewizji i jeździli po miastach wojewódzkich – chałturzyli. Na ich wzór przygotowałem. Materiały mi przysłał Staszek Kozyrski – ten aktor, mój przyjaciel już nieżyjący, który ze mną był też w tym teatrze, a później skończył szkołę teatralną w Łodzi i pracował w teatrze w Częstochowie. Zaraz po przysiędze zabrał mnie kwatermistrz do siebie – to mam wpisane w książkę wojskową – byłem pisarzem, bo tego człowieka trzeba wykorzystać, prawda? Kompania czterdzieści osób czy pięćdziesiąt, dwóch tylko po maturze. Reszta – ludzie tacy po siedmiu klasach, ale też fajni chłopcy. Myśmy dwaj się wyróżniali – ja i Porc Andrzej był drugi po maturze. Ze mną był wtedy w wojsku, w Gliwicach, lubelski znany fryzjer. Mieszkał pamiętam na PKWN-ie, na Głębokiej i na Sztasica ma swój zakład. Tam byłem tylko trzy miesiące. Już pracując jako pisarz u tego kwatermistrza, przyjechał jakiś marynarz oficer, szukać ludzi [do]

szkoły, do SSM – Szkoła Specjalistów Morskich. Ja się zapisałem. Potrzebowałem jakąś zmianę, nie lubiłem jednego miejsca, choć miałem bardzo dobrze. Mnie tam wszyscy zazdrościli. Idziesz sobie – jego nie obowiązują żadne gimnastyki, żadne zbiórki, żadne alarmy, żadne poligony, bo on sobie idzie na ósmą do kwatermistrza, wychodzi o piętnastej i w międzyczasie przychodzi na obiad. Tam się inaczej patrzyło na pisarza w wojsku, choć był żołnierzem w czynnej służbie, ale zawsze do mnie oficerowie mieli interes: wypisz mi na coś tam, wypisz to i to, jak możesz. To było w Gdańsku i tam byłem osiem miesięcy w tej szkole, a później trafiłem do Szczecina. Byłem w dywizjonie Szczecin. Pływałem na okręcie ORP „KP-104” – Okręt Rzeczypospolitej Polski Kuter Patrolowy 104. To była piękna służba. W tydzień wyprowadzaliśmy wszystkie porty, wszystkie statki KK – Krajów Kapitalistycznych – z portu do Redy na morzu i z Redy do portu. Chodziło o to, żeby ktoś nie wyskoczył ze statku, nie dopłynął do brzegu – czy nie dopłynął z brzegu do statku i nie dostał się, jak statek wypływał, żeby ktoś czegoś nie wyrzucił. To była wtedy tak zwana żelazna kurtyna. To był koniec lat 50. Nie było wojny, ale było takie strzeżenie tych granic i żeby te kraje kapitalistyczne tam różnie opluwane przez ten reżim wschodni, czegoś nam nie podrzuciły. To tydzień czasu mieliśmy taką służbę patrolową. Płynęło się za tym statkiem – duży, potężny statek, nasze kutry maleńkie, ale uzbrojone w działko, myśmy też byli wszyscy uzbrojeni w broń. Tam nie było torped, bo to było za małe, ale już była kontrola, już była obawa, że oni zobaczą. Była cały czas służba na lornetkach, cały czas się patrzyło, kontrolowało się. To pod jedną burtę się podpływało tam gdzieś w pewnej odległości, pod drugą burtę tego statku wychodzącego w morze. Także go doprowadzaliśmy aż do Redy. Jak już był na wodach tak zwanych międzynarodowych, to już nasza rola się kończyła. Z powrotem brało się nowy statek z Redy i się go wprowadzało do portu – znaczy pilot go wprowadzał, a myśmy go tylko kontrolowali, czy coś tam się nie dzieje złego. Tydzień czasu była służba na granicy wodnej, morskiej. Pływało się cały czas na morzu, [sprawdzało] czy tam ktoś nie dopływa jakąś tratwą ze Szwecji czy tam ze Skandynawii. Takie głupie to było jak cholera. Najwięcej mieliśmy zadań, roboty z rybakami. Mieliśmy takiego koka – kucharza, chłopak nasz z Lubelszczyzny, bo tam mieliśmy swoją kuchnię na okręcie. Trzeba było coś jeść oprócz tego prowiantu, co nam dano na ten tydzień czasu – to był fajny, suchy prowiant – to chcieliśmy mieć tych rybek. A gdzie rybę? Pływało się do rybaka, rybacy już się bali, że podpływają marynarze, że wojsko podpływa, to już będą coś chcieli, będzie draka, będzie jakieś nieszczęście. Bosman nasz cwaniaczek z rybakami handlował paliwem. Rysiek Jaszczuk z Płocka chłopak. Był motorniczym i często paliwo tankował do kutrów rybackich, ale dostawaliśmy takie ilości ryb, żeśmy mieli potąd. To różne ryby, najlepsze gatunki, jakie tam się łapało wtedy w Bałtyku czy w Zalewie Szczecińskim, tośmy sobie zjadali. To były ciekawe czasy, [ale] stracone trochę lata, bo to właściwie nic się specjalnego nie działo. Mnie chłopcy zazdrościli później, jak wróciłem z wojska, tej służby mojej, bo oni pracowali w tych wojskach lądowych, tam się nic nie

działo, jak mówili, tam były nudy. Poligon, musztra, poligon, musztra, a tu było to pływanie, ta woda, ten pobyt na morzu. Lepsze było wyżywienie. Codziennie mieliśmy czekoladę twardą jako dodatek i papierosy były ciekawe, papierosy Albatrosy. Ja nie paliłem. One były w kartonach i były woskiem, parafiną tak mocno zaparafinowane, żeby nam się wilgoć wcześniej nie dostała. Ja to przywoziłem ojcu, to mi tak opowiadał: „Jak ja w pracy we młynie Krauzego wyciągam te papierosy, mówią: «Janie, skąd masz takie papierosy?»”. Albatros, była tam kotwica, kawał koła ratunkowego na tym pudełku rysowany. To była taka atrakcja. To były takie zwykłe papierosiny, ale opakowanie było ładne. To była już wielka atrakcja dla ojca, że takie papierosy miał i palił. Nauczyłem i oficera, i bosmana, i tego Ryśka Jaszczuka z Płocka grać w brydża. Całymi dniami żeśmy grali w brydża, a jaka była [to] dla nich atrakcja. Brydż to była gra tak towarzyska, tak sympatyczna, że ja do tej pory grywam. I w latach 50. nauczyłem tych ludzi grać w te karciężta. Nas dwóch marynarzy – ja byłem wtedy najstarszy stopniem, byłem starszym marynarzem z uwagi na to, że skończyłem ten SSM z oceną bardzo dobrą, to dostałem belkę na rękaw – to na rękawie się nosiło. To koledzy musieli tam wykonać te wszystkie prace: mycie pokładu, sprzątanie, tamten, ten klar na okręcie musiał być zawsze zapewniony, a myśmy różnili w mesie oficerskiej w brydża z dowódcą i z bosmanem, i z Ryśkiem we czwórkę. Tak sobie ułatwiłem życie, tylko dlatego, że znałem tego brydża, że umiałem grać, a oni chcieli się nauczyć, bo słyszeli, że takie coś jest. Zresztą jak wiadomo, przed wojną cała kadra oficerska grywała w brydża. Oficer, który nie grał w brydża, to był źle widziany w towarzystwie. Jak to? Co za oficer? Choć marszałek Piłsudski nie grał w brydża. On stawiał pasjansę. On cały czas siedział i tylko ustawiał sobie na stole pasjansę, ale cała kadra oficerska grała w brydża.

Data i miejsce nagrania	2020-12-08
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Redakcja	Renata Pacholarz
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"